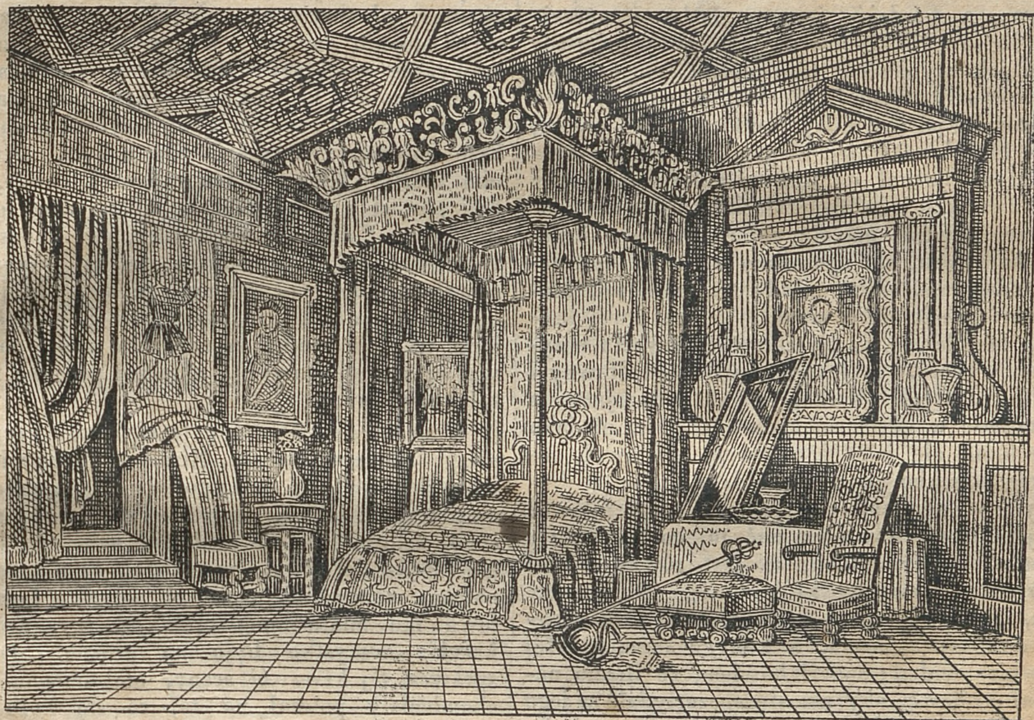
Przyjaciel Ludu.

Leszno No. 50. dnia 17. Czerwca 1835.

Pokój Maryi Stuart w Holy-Rood.



Holy-Rood nim na pałac królewski zamieniony został, był najprzód opactwem. Dawid Iszy używając pewnego dnia zabawy polowania, znajdował się tutaj w niebezpieczeństwie, i o mało nie zginął od rozjuszonego rogacza: gdy z nagła, jak się wyraża legenda, krzyż pokazał się w powietrzu pomiędzy królem a jeleniem, i ocalił mu życie. Na tem więc miejscu wybudowano opactwo Holy-Rood: później przeniesiono tutaj królewską rezydencyą. Ten starożytny zamek w roku 1650 pożar do szczętu pochłonął, wyjąwszy wieżą i pokoje Maryi Stuart, wzbudzające najżywszą ciekawość w podróżnych, zwiedzających teraźniejszy pałac w Holy-Rood, odbudowany na nowo przez Karóla II. Zdarzenia, których te posępne mury niememi były świadkami, rozstrzygnęły podobno los pięknéj, ale nieszczęśliwéj Maryi Stuart; i z téj to przyczyny pokoje te, tak pamiętne w dziejach szkockich, utrzymują aż do dziś dnia w tym samym stanie, z meblami i wszelkiemi sprzętami, jak je opuściła królowa, wtrącona ztąd do więzienia, z którego dopiero wtedy wyszła, gdy miała być prowadzoną na rusztowanie. Niepodobna patrzeć na te miejsca bez rzewnego wzruszenia: imaginacya przenosi się zaraz w czasy, kiedy przed 270 lat pokoje te były świadkami okropnéj sceny: ich sklepienia zdają się odbijać jeszcze krzyki trwogi i rozpaczy królowéj, przeklęctwa morderców, jęki umierającego, zwłaszcza, że posadzka, krwią zbroczona, do dziś dnia niezatarte tego morderstwa zachowuje ślady. — Ponieważ Marya Stuart nie miała potomstwa z pierwszym swym małżonkiem Franciszkiem II., Szkotowie życzyli sobie, aby poszła za kogo innego, do czego chętnie skłoniła się sama królowa. Najpotężniejsi królowie w Europie i xiążęta ubiegali się o jéj rękę: ale polityka zabraniała jéj myśleć o cudzoziemcu; zwróciła więc swe chęci ku jednemu z najpierwszych panów Szkockich, spokrewnionemu nieco z jéj domem, a oraz z królową Elzbietą: był to Henryk Stuart, Lord Darnléj. Darnléj chcąc więcéj jeszcze zobowiązać sobie królową, ucieka się do przyjaźni człowieka niskiego urodzenia, posiadającego wtedy zupełnie łaskę i zaufanie Maryi. Człowiek ten, rodem Włoch, nazwiskiem Dawid Rizzio, ze stopnia pokojówca wyniesiony był na urząd sekretarza. Jego talent lubiła królowa, i nieraz ka-

zała go wołać do siebie, aby ją muzyką zabawiał: tym sposobem Rizzio przy swéj przebiegłości, nieznacznie opanował jéj umysł. Marya niezadługo niemogła się obejść bez tego powiernika, łączącego z głęboką wiadomością spraw publicznych, znajomość kilku języków Europejskich, za których pomocą mogła korrespondować z państwami zagranicznemi, a szczególnéj z przyjaciołmi swymi we Francyi. Z tem wszystkiem wyniesienie cudzoziemca, katolika, na stopień ministra, a bardziéj jeszcze łaska i uprzejmość królowéj, lubiącéj jego towarzystwo, równie jak wyniosłość tego nienawistnego faworyta, obraziły dumę Szkotów, i dały powód do różnych paszkwilów, uwłaczających dobréj sławie Maryi. Darnléj, niepamiętny na przysługi, których doznał od Rizzio, należał do liczby najzawziętszych jego nieprzyjaciół. Nieposiadając ani przenikliwości umysłu, ani roztropności i stałości charakteru, ale uposażony z natury czarującemi wdziękami ciała, młody ten małżonek Maryi, wkrótce niewdzięcznym się okazał swéj królowéj, tak dalece, iż jéj żałować przyszło uczynionego wyboru. Był to człowiek gwałtowny i popędliwy, złych obyczajów, nie zważający na przystojność w obecności królowéj, którą nie jako monarchinią ale jako żonę swoję traktował, codziennie pijackim zbytkom oddany i innym haniebnym występkom. Tymczasem nieprzestawał dręczyć Maryi, aby otrzymać to, co Szkotowie koroną ślubną nazywali, to jest równy udział w powadze i władzy królewskiéj. Doznawszy oporu, cały swój gniew wywarł na Włocha, niegdyś swego przyjaciela, a którego teraz z całéj duszy nienawidził; sądził bowiem, że Rizzio namawiał królowę, aby mu się sprzeciwiała w jego dumnych zamiarach. Nienawiść jego przeciwko temu nieszczęśliwemu cudzoziemcowi doszła do tego stopnia, iż mu pogroził, że go własną ręką zamorduje: a ponieważ Rizzio wielu miał nieprzyjaciół, łatwo było Darnlejowi znaleźć przedajnych siepaczy, którzy się podjęli dopełnić jego zemsty.

Dnia 9go Marca 1566 roku Marya wraz z pięciu osobami (między temi znajdował się także jéj sekretarz) jedli wieczerzą w gabinecie, którego drzwi prowadziły do sypialnego pokoju królowéj. Już wybiła siodma godzina: w tem gronie poufałych przyjaciół, zapominała królowa o kłopotach i trudach korony: odezwały się wesołe śpiewy, rozmawiano poufale z sobą wśród żartów i wesołości; Marya oddana całkiem zabawie, nie przeczuwała grożącego niebezpieczeństwa, i czuła się zupełnie szczęśliwą. Gdy z nagła Darnléj wpada do pokoju skrytemi schodami: za nim idą zbrojni spiskowi: ich ponure twarze nie zostawiają żadnéj wątpliwości o celu, który ich sprowadza. Lecz posłuchajmy słów historyka: „Pierwszym był dziki i fanatyczny Ruthven; nienawiść sama dodała mu tyle siły, że przywdział i dźwignął ciężką zbroję, która inaczéj byłaby przygniotła jego ciało, wycieńczone długiemi cierpieniami. Pod szyszakiem, okrywającym głowę, owa twarz wywiędła, cera blada, dawały mu postać trupa: ale go zły duch ożywiał i podług swéj woli kierował. Iskrzące oczy pałały zemstą i wściekłością; rysy jego spokojne i martwe śmierć zdradzały. Tuż za nim postępuje Jerzy Duglas, najzuchwalszy ze spiskowych, potomek świetnego Duglasów domu, któremu sławne tylko imię ale bez majątku dostało się w dziedzictwie: okrutny, nieustraszony, nieubłagamy, w najwyższym stopniu ambitny, sięgający na próżno po najwyższe zaszczyty: prawdziwy Tantalus polityczny, gotów na wszystko, byle tylko zadosyć uczynić swym chuciom i nienasyconym żądzom, byle poprzeć swe prawa źle nabyte. Któż za nim idzie? Któż jest ten człowiek chudy, dzikiéj postaci z pistoletem w ręku. Jest to Andrzéj Ker Faldonsid, zuchwalec, podobniejszy do rozbojnika niż do szlachcica; on to posunął zuchwalstwo do tego stopnia, że swe zbrojne ramię oparł na łonie królowéj, młodéj, pięknéj mającéj wkrótce matką zostać. Za niemi postępował orszak spiskowych, a raczéj posępne i straszliwe widmä."

Podczas gdy Marya pyta się o przyczynę tak niespodziewanéj napaści, Rizzio czytając z ich posępnych twarzy i dzikiego wzroku, zwróconego na siebie, że jego życie w niebezpieczeństwie zostaje, schronił się za królową, uchwycił się silnie fałdów jéj sukni, w nadziei, że uszanowanie należne monarchini, ocalić go potrafi. Lecz królowa nie miała innéj broni jak łzy, prośby i krzyk: wszystko było na próżno. Darnléj, sprawca téj krwawéj sceny, stał nieporuszony: skamieniały patrzał na to, co się koło niego działo, jak człowiek we śnie pogrążony. Zbójcy wywrócili stół, pochwycili nieszczęsną ofiarę: Rizzio z przestrachu o mało nie wpadł w objęcia królowéj. Ich zamiarem zapewne było uprowadzić go z pokoju: ale dzika wściekłość niedozwoliła im téj zwłoki do wykonania zemsty. Jerzy Duglas pierwszy dał hasło. Wyrwał puginał Darnlejowi i przebił Włocha: w téj chwili i od innych spiskowych kilka ran odebrał. Potem wlekli go po ziemi przez sypialną komnatę królowéj do przedpokoju, i na wschodach dokonali zabójstwa, gdzie nieszczęśliwy Rizzo wyzionął ducha odebrawszy 56 ran. Po dokonaniu tego krwawego czyny Ruthwen znużony tak gwałtownem sił natężeniem, upadł zemdlony na krzesło w przytomności Maryi, i żądał szklanki wina dla otrzeźwienia się, jak po dokonaniu zwyczajnéj i najniewinniejszéj pracy. Poczem oświadczył królowéj, że naród jéj tyraństwa daléj znosić nie myśli, i że dla tego zabił jéj sekretarza, aby go ukarać za to, iż dawał opiekę religii katolickiéj.

Marya straciwszy prawie do szczętu przytomność, nie przestawała łez wylewać, wydawać krzyki rozpaczy, szamotać się z tymi, którzy ją

wstrzymać chcieli: ale gdy się dowiedziała o spełnieniu zbrodni, przestała płakać, a otarłszy łzy i usiadłszy uspokojona, rzekła pocichu: „Teraz tylko o zemście myślić będę.“ Przypomniano sobie te słowa, gdy w dziewięć miesięcy potem, Darnléj zginął okropniejszą jeszcze śmiercią przez wysadzenie prochem w Kirk-Field, gdzie wtedy bawił.

Syn, którego Marya powiła, późniéj pod imieniem Jakóba I. panujący w Anglii i Szkocyi, nie mógł patrzeć na gołą szpadę, bez konwulsyjnego drzenia.

Historya okropna o walecznym Stasiu i o pięknéj Anulce.

(Ciąg dalszy.)

Wyrzekłszy te słowa, obróciła się spokojnie na drugą stronę, i włożyła talara w tłómoczek. Wszystkie wyrazy i poruszenia nawet staruszki mocne na mnie uczyniły wrażenie; rzekłem więc do niéj: Prawdę mówicie, matko! ale ja nie dla kogo innego, tylko dla was, tak długo się bawię: słyszałem waszę modlitwę, i chciałem was prosić, abyście się i za mnie modlili.

Jużem to uczyniła, odpowiedziała: widząc cię tak przechadzającego się samotnie po ulicy, prosiłam Boga, aby cię bronił od złéj myśli: jak widzę prośba moja została wysłuchana, a teraz idź do domu.

Ja zaś usiadłem przy niéj, ścisnąłem jéj twardę rękę, mówiąc: pozwólcie mi usiąść przy sobie, i noc tutaj przepędzić; opowiedzcież mi przecie, zkąd jesteście, i czego tu w mieście chcecie? w waszym wieku już człek bliższym jest Boga niż ludzi. Oj! świat się teraz odmienił: dawnemi czasy.... Tak było, jak teraz, odpowiedziała staruszka: mój żywot zawsze był jednaki, za co niech będzie Bogu chwała! Ale nie trzeba od siebie oddalać pomocy, chociaż mi jéj tak gwałtownie nie potrzeba; usiądź więc, i zobacz, jeżeli mi co pomódz możesz. Opowiem ci, co mnie tutaj do miasta przywiodło. Czas szybko mija: Przed sześćdziesiąt laty nieraz siedziałam na tem samem miejscu, czekając na mego Stefanka, rzeskiego chłopaka, z szablą przy boku, w niebieskim mundurze. Tutaj ślubowaliśmy sobie wieczną miłość. O gdyby.... ale cicho! patrol nocny nadchodzi.

Poczem zaczęła słabym głosem śpiewać pieśń starożytną, którą dziewczęta i chłopaki o księżycu przede drzwiami powtarzać zwykli:

W dzień ów sądu ostatniego
Trąba głosu straszliwego
Wzbudzi z umarłych każdego.
Xiężyc, gwiazdy spadną z nieba,
Na termin stawić się trzeba:
Dzień to będzie pełen płaczu,
Gdy stanie grzesznik na placu,
Przed trybunałem straszliwym,
Boże bądź mu miłościwym!

Kto tę piosnkę śpiewać będzie,
Ten na prawicy usiędzie:
W niebie razem z aniołami
Boże zmiłuj się nad nami!

Gdy się patrol zbliżył, rozczuliła się staruszka. Ach, rzekła, dziś szesnastego maja, wszystko tak, jak przed tem bywało: czapki tylko inne mają na głowie: nic to nie szkodzi, byle tylko serce było na prawem miejscu. Officer dowodzący patrolem, chciał stanąć i zapytać, co tu tak późno porabiamy? gdy w nim poznałem mego przyjaciela, Porucznika Mirosławskiego. Opowiedziałem mu w krótkości całe zdarzenie, a on rzekł z rozrzewnieniem: Przyjacielu oto masz talara dla téj staruszki i tę różą, którą w ręku trzymał — stare kobiety ze wsi lubią kwiaty. Proś jéj, aby ci tę starą piosneczkę podyktowała, i przynieś mi ją. Jużem dawno pragnął téj piosnki, a nie mógłem jéj dostać. Rozstaliśmy się potem; albowiem żółnierz stojący na głównym odwachu, do którego towarzyszyłem porucznikowi, zawołał: kto idzie! Dodał więc odchodząc, że ma dyżur w zamku, i prosił, żebym go tam odwiedził. Ja zaś wróciłem do staruszki, i dałem jéj talara i różą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

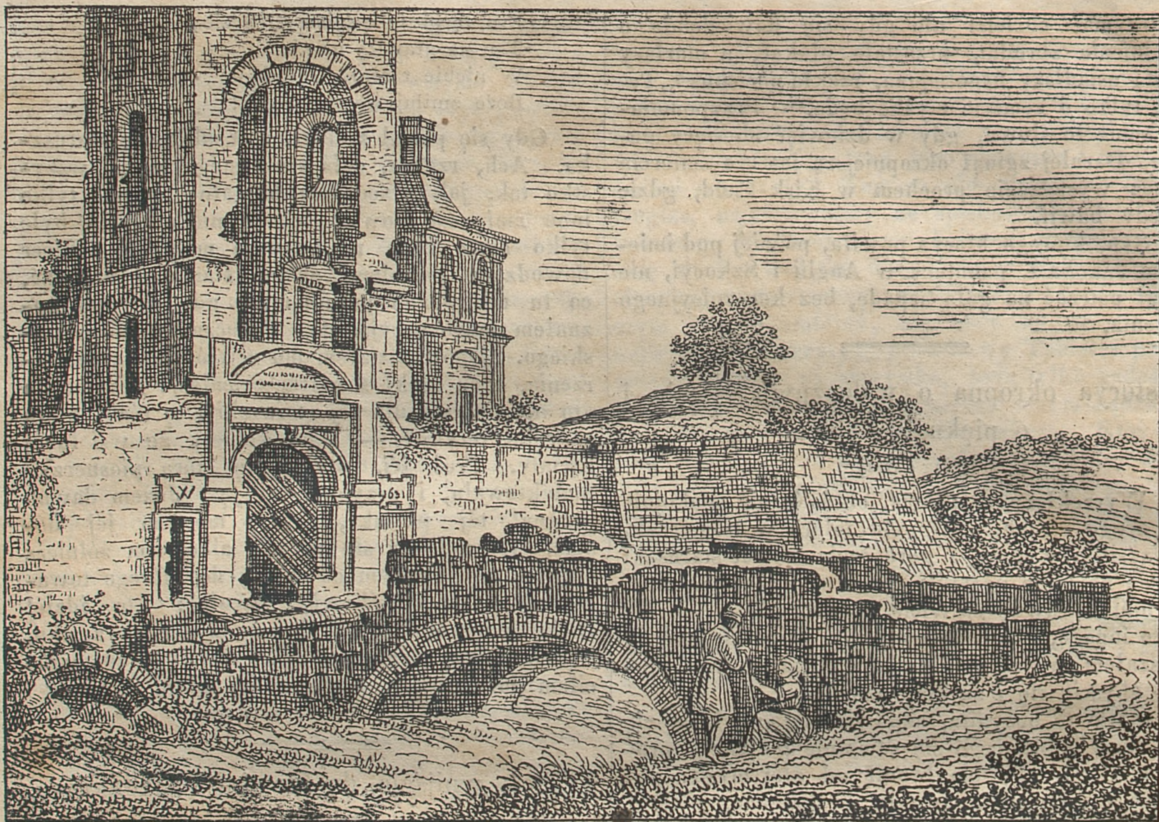
Widok wnijścia do Zamku Ujazdzkiego.

Piękny opis zamku Ujazdzkiego, skreśliła w dziełach swoich Autorka Pamiątki po dobréj matce, który dosłownie umieszczamy, pozwoliwszy sobie tylko mniéj ważne wypuścić rzeczy:

„Zamek ten o 4 mile od Sandomierza, niegdyś obronny, Krzysztoporem zwany, dziś jest prawie zupełnie zniszczony, i wcale nie mieszkalny. Stawiał go przez lat 30 z ogromnym nakładem (przeszło 3 milliony złotych polskich wynoszącym) Krzysztof Ossoliński, brat pełnego sławy Jerzego, i nazwał od imienia i herbu swego (Krzysztof Topor): ukończył go roku 1644. Zamek ten subtelnym założyciela konceptem, a raczéj dumy skutkiem, miał być osmym cudem świata: w czworobok zbudowany w włoskim guście z czterma wieżami, tyle miał okien, co dni w roku, tyle pokoi co tygodni, tyle sal, co miesięcy, tyle dziedzińców, co kwartałów. Woda otaczała go w koło, most zwodzony, prowadził do głównéj bramy, przy niéj widać dotąd po jednéj stronie Topór, herb Ossolińskich, po drugiéj krzyż z kamienia: nad niemi było niegdyś jakby wezwanie do Toporczyków:

Krzyż obrona, krzyż podpora,
Dziatki naszego Topora.

W głównem podwórzu są ślady dosyć jeszcze wyraźne, iż właściciel niezaspokojony, jak zwykli panowie, tem, żeby Antenatów wizerunki mieć na ścianach pokoi, na murach pałacu swego ich wspomnienie umieścił, w tym zapewne celu, ażeby każdy przychodzień, ten nawet, co do komnat wejść nie mógł, wiedział o wysokiéj



Widok wnijścia do zamku Ujazdzkiego.

ich parenteli. Są więc od góry do dołu na tych murach napisy: zawierające nie tylko nazwiska osób i stopień pokrewieństwa, ale nawet częstokroć w szumnych słowach wyrażoną pochwałę. W sali bawialnéj nad wielkim kominem był znowu napis:

Miły w tym domu pokój przemieszkuje
Gdzie mąż przygrywa, żona przyśpiewuje.

O zbytku i przepychu tego zamku, Puffendorf wódz i pisarz Szwedzki i inni wypowiedzieć się nie mogą: żłoby w stajniach były marmurowe. W jednéj wieży na najwyższem piętrze znajdował się okrągły pokoik z oknami na wszystkie strony: dach był szklanny, płaski: tam ze źródła, będącego w obwodzie zamku, rurami sprowadzano wodę, a w niéj złote pływały rybki. I tak, co pospolicie ludzie u nóg swych widzieli i widzą, ryby w wodzie, to dumny wojewoda widział nad głową swoją.

Krzysztopor, jak wszystkie dzieła pychy, nie długo trwał w całości, a nawet czas bardzo krótki był w rękach imienia Ossolińskich. Zamek wraz z całym majątkiem przeszedł do trzech córek Jerzego: z nich najmłodsza Urszula, wydana za Kalinowskiego, wzięła go w dziale; a tak przechodząc po kądzieli, dostał się nareszcie Pacom, a potem Sołtykom.

Zamek Ujazdzki wiele ucierpiał od Szwedów za Karóla Gustawa: w czasie konfederacyi barskiéj zupełnie zniszczony, i już odtąd mieszkalnym być przestał. Dziś niepodobną byłoby rzeczą, przyprowadzić go do dawnego bytu. W całym jego ogromie, mieści się teraz przy bramie jedna uboga kobieta z krowami. Kontenta jest z swego przytułku, bo jak mówi: nikt tam nie szkoduje i nic nie przeszkadza. Może w czasach najświetniejszych tego zamku, Ossoliński nie mógłby był tych słów powiedzieć; bo on zapewne nieraz na swéj dumie szkodował: ona nieraz przeszkadzała mu i przerywała sen jego. Nie daleko Ujazdu piękne są ulice lipowe: zasadził je Pac, i takiego użył sposobu do zasłonienia drzew tych od napaści chłopców: trzymał dzielnego hajduka, którego obowiązkiem było jeździć z nahajem po tych ulicach, i strzedz drzew. Gdy zastał kogo w szkodzie, miał prawo dać mu plag dziesięć. Tem urządzeniem ściśle wypełnianem ocalały drzewa.“

Jerzy Ossoliński.

Miło jest czytać życie sławnego męża, a jeszcze miléj, gdy przez niego samego opisane: Zdaje nam się bowiem, jak gdybyśmy z nim rozmawiali, patrzeli na jego osobę, i najskrytszych myśli i uczuć jego byli powiernikami. Obcy pisarze dokładniéj może i bezstronniéj oceniają zasługi ludzi znakomitych, nie przemilczając słabo-



Jerzy Ossoliński.

ści i błędów, którym ulegali; ale wewnętrznego stanu człowieka, jego myśli i istotnego charakteru, nie mogą nam tak żywo i wiernie przed oczy wystawić. Z téj przyczyny pamiętniki i dzienniki szczególniéj każdego zajmują. Taki dziennik życia swego, zostawił nam Jerzy Ossoliński, kanclerz, mąż najświetniejszych ciała i duszy przymiotów, który, okazałością dworu swego, powagą prawdziwie senatorską, ale niemniéj biegłością w sprawach krajowych, wielkością duszy i piękną wymową, uświetnił panowanie Władysława IV.

Był synem najmłodszym Zbigniewa Ossolińskiego i Anny Firlejowny, ur. r. 1595. Najpiękniejsze talenta starannem w domu i za granicą rozwinąwszy wychowaniem, powróciwszy z podróży, postanowił pierwszéj użyć sposobności do nabycia sławy w ojczyznie. Właśnie młody królewicz roku 1617 wybierał się na wyprawę moskiewską: w jego orszaku znajdował się młody Jerzy Ossoliński; dzielił z królewiczem wszystkie trudy obozowe, pozyskał jego łaskę, i powszechną miłość kommissarzów, do téj wojny od dworu przydanych. Ale młodzi Kazanowscy, polubieńcy królewicza, zadroszcząc mu téj wziętości, sprawili, iż został od boku jego oddalonym. Jednak król Zygmunt III. znając zdatność i naukę młodzieńca, nie przestał go wysoko szacować, i do różnych ważnych posług krajowych używać: poruczył mu zatem ważne poselstwa do Anglii.

Powróciwszy do Polski roku 1621, ujrzał ją znowu wplątaną w wojnę Szwedzką: własnym przeto kosztem zaciągnął chorągiew ludzi zbrojnych, na któréj czele przez dwa lata dawał dowody niepospolitego męztwa i rozstropności. Po zawarciu pokoju, pożyteczną radą królowi służył, a po jego śmierci (roku 1632) Władysław IV. obrał Ossolińskiego na sejmie obiernym swoim pełnomocnikiem, po koronacyi zaś wyznaczył go posłem do Rzymu. Dnia 6. Grudnia roku 1633 z niewypowiedzianym przepychem i okazałością

odbył wjazd swój do Rzymu: Urbana VIII. papieża piękną łacińską mówą powitał, od którego przy ostatniem pożegnaniu tytułem xięcia zaszczycony został; lecz tego tytułu w Rzeczypospolitéj nie używał. Roku 1636 był posłem na Sejm Rzeszy niemieckiéj w Ratyzbonie: w nagrodę tych i innych ważnych dla kraju usług mianowany najprzód Podkanclerzem, a potem Kanclerzem koronnym, był posłem królewskim na ów sławny zjazd do Torunia roku 1645, nazwany Rozmową przyjacielską (Colloquium Charitativum), złożony w celu pojednania katolików z dyssydentami polskimi w mniemaniach religijnych. Posiedzenia te zagaił Ossoliński piękną łacińską mową, zachęcając przytomnych, aby porzuciwszy wszelkie niechęci i uprzedzenia, zgodą i prawdziwie chrześciańskim duchem, chwalebnym zamiarom mądrego króla godnie odpowiedzieli. Z początku szły narady pomyślnie; lecz po oddaleniu się Kanclerza, którego król dla ważnych spraw publicznych odwołać musiał, gdy dyssydenci sami bardziéj między sobą niż z katolikami kłócić się poczęli, sławna ta w dziejach kościoła polskiego rozmowa spełzła na niczém. — Ossoliński nawet po śmierci Władysława IV. (roku 1648) równych u Jana Kazimierza doznawał względów, gotowy zawsze do nowych krajowi usług. Wybierając się w poselstwie do Cesarza i papieża, nagle apoplexyą ruszony † 1650 roku, mając lat 55.

Był to mąż znakomity i bardzo poważany: radą zdrową służył krajowi pod Władysławem IV. i Janem Kazimierzem: miał rozum bystry, naukę wielką, a szczególniéj gładką i piękną wymowę, która mu do takiego znaczenia i wpływu na ważne sprawy w ojczyznie utorowała drogę: w tym względzie nikt mu z współczesnych nie wyrównywał.

Dziennik życia jego, który jakeśmy już nadmienili, w rękopiśmie zostawił, *) wydał Fran. Bohomolec, przedrukowany w Zbiorze pisarzów pol. przez Mostowskiego: niektórzy z współczesnych pisarzów zarzucają mu pychę i próżność, że się starał o tytuł xiążęcy, o ordery u dworów zagranicznych, których potwierdzenia na Sejmie uzyskać nie mógł, i dla tego ich nie używał.

Wjazd wspaniały Jerzego z Tenczyna Ossolińskiego posła Władysława IV. do Rzymu dnia 27. Listop. 1533.

„W niedzielę po obiedzie odprawił wjazd do tego miasta, Jerzy Ossoliński poseł extraordynaryjny na zdanie posłuszeństwa Ojcu Śmu częścią dla strojów niewiedzianych, częścią dla dostatku wielkiego i bogactw pokazując się sam z inszymi pany Legacyi od złota srebra i drogich kamieni.

Jechały najprzód dwie osoby Posła po polsku ubrane w atłasach szkarłatnych, za nimi szło 22 wozów skarbnych, okrytych suknem czerwonem; za temi szło 10 wielbłądów, okrytych bardzo bogato, a powodzili je Tartarzy, Ormijanie, ubrani bogato w szaty tureckie, złotogłowy z zawojami. Następowali potem 4 trębacze polscy, ubrani bardzo zacnie w ferezyach zielonych, axamitnych: za nimi 40 kozaków z karabinami i pistolety przy siodłach w ferezyach atłasowych. Za nimi następowali konni ojca Śgo kawalerowie i muły kardynalskie, a za nimi jechało 60 pacholąt i pokojowych J. Król. Mości w ferezyach atłasowych błękitnych. Wiedziono potem pięć koni tureckich z siodłami, szczerozłotemi blachami obitemi; z rzędami złotemi i kamieńmi drogiemi sadzonemi: na czele jednego był klejnot, który szacowano na 20 tysięcy szkudów, a naszych 30000 złotych. Miały te konie kosztowne kity, a powodzili je Ormijanie. Podkowy miały ze szczerego złota, z których dwie umyślnie tak przybite, aby się zgruchotały: te pospólstwo między siebie rozerwało.

Następował potem koniuszy J. Król. Mości strojno ubrany z buławą w ręku, za nim jechało 30 komorników etc.

Sam poseł w żupanie białym z kwiatami złotemi, u niego 20 guzów i pętlice szczero dyamentowe, miał przy boku szablę szczerozłotą oprawną rubinami, szacowaną na 20000 złotych i ferezyą także z guzami dyamentowemi, na głowie miał zaponę złotą, która się świeciła od kamieni, a siodło, rząd, strzemiona wszystko było sadzone kamieńmi, podkowy u konia szczerozłote etc.“

Były czasy, gdzie wjazd tryumfalny Ossolińskiego do Rzymu, odbyty z tak niesłychanym przepychem, wystawiano jako czyn heroiczny, dowodzący niewiem jakiéj wspaniałości umysłu i gorliwości obywatelskiéj. Krasicki wyrzekłszy o nim:

Tak ów, co po jałmużnę niegdyś do Włoch spieszył,
Złoto rzucał, nic nie wziął, a dumą rozśmieszył.

Pierwszy podobno uczuł, że taka czcza w istocie okazałość i pompa w narodzie rólniczym, bez handlu i rękodzieł, a zatem ubogim, dowodziły dziś jeszcze upowszechnionéj a bardzo szkodliwéj wady, próżności i dumy, które nie tylko zwykle w oczach rozsądnych śmiesznością okrywają, ale nadto domy i narody do upadku prowadzą.

Szkoły u Muzułmanów.

„Umiejętność jest potęgą „rzekł mędrzec, który sam całą swoję potęgę, jaką na współczesnych wywierał, umiejętności tylko był winien; i możnaby uważać za przepowiednią coraz dalszych postępów oświaty, że to głębokie wyrażenie Bakona, stało się dzisiaj pospolitem prawie przysłowiem. Lecz o ile umiejętność potęgą, o tyle

*) Piękne mowy jego w łacińskim języku wyszły w Gdańsku u Förstera roku 1647 przetłumaczone w naszych czasach przez Maxymiliana Ossolińskiego, fundatora biblioteki publicznéj we Lwowie.

nieumiejętność jest słabością. Dowód tego widzimy na Wschodzie. Tam to podróżny, czuje w całéj mocy, słabość i upodlenie, wynikające z ciemnoty i niewiadomości; tam uczy się cenić całą wartość światła i umiejętności, jako jedynych źródeł szlachetności i potęgi rodu ludzkiego. — Uczucia tego nie doznałby w dzikich narodach; gdyż ich zwyczaje życia, ich sposób myślenia, pojmowania i czucia, tak są różne od naszych, iż stawiają ich niejako za obrębem tego stanu, w którym nieumiejętność wstręt i litość obudza. Przeciwnie rzecz się ma z mieszkańcami Wschodu. Z pozoru możnaby ich za cywilizowanych uważać; mają kollegia i szkoły, mają literaturę: czują nawet tę prawdę: że umiejętność jest potęgą, i ubiegają się o nię; ta wszakże, jaką przy największém usiłowaniu nabyć mogą, tak jest błahą i nic nie znaczącą, iż w niczém prawie ich niewiadomości nie zmniejsza. Najłatwiéj to będzie pojąć, z opisania Szkół Mahometańskich, zajmujących się jedynie nauką czytania; jako też ze stanu téj nawet nauki, która wtedy tylko ma swoję prawdziwą wartość i znaczenie, gdy się za klucz do nabycia wiadomości używa. Następujące opisanie Szkół stósuje się do wszelkich prawie krajów Muzułmańskich, mianowicie zaś do Persyi, gdzie umiejętność najbardziéj jest cenioną, i gdzie się o nią ubiegają najwięcéj: ściąga się nawet i do chrześcian Ormianów, w krajach Muzułmańskich osiadłych; którzy jednak bez porównania, mocniéj od Muzułmanów, czują wartość i potrzebę nauki, i ubiegają się o nią z gorliwością i zapałem, godnym lepszéj nagrody, niż ta, którą znaleść mogą na Wschodzie.

Cudzoziemiec przechodząc, przez ulice miast Muzułmańskich, musi koniecznie zwrócić uwagę na jakąś stłumioną wrzawę tysiąca zmieszanych głosów, którychby sam nigdy nie odgadnął przyczyny, gdyby mu nie powiedziano, że pochodzą ze Szkoły. Wchodząc do niéj, ujrzałby długą i wąską izbę, w końcu któréj naprzeciw wejścia, siedzi człowiek z długą brodą, — która jest cechą stanu nauczycielskiego, tam nawet, gdzie wszyscy inni mieszkańcy wąsy tylko noszą. — Wzdłuż ścian, po obu stronach izby, małe chłopcy rozmaitego wieku, siedzą, jak zwykle Muzułmanie, na ziemi, z założonemi na krzyż pod sobą nogami. Ziemia pospolicie zasłana jest grubą matą słomianą, na któréj dzieci bogatszych rodziców, rozściełają jeszcze dla siebie kawał dywanu, lub woylak, lub też kładą poduszkę. Niektórzy ze starszych chłopców, otrzymują nawet pozwolenie, przynoszenia z sobą poduszek do opierania się o nie plecami; wszakże rodzaj ten zbytku, źle jest widziany przez nauczycieli, którzy sami, z przywilejów swego stanu używając téj wygody, uważają ją razem za oznakę swojéj godności, i nie radziby, ażeby uczniowie śmieli ją sobie przywłaszczać. Wszyscy uczniowie mają głowy nakryte, ale wszyscy siedzą bez trzewików, które wchodząc zostawiają przy drzwiach, tak pomieszane, i tak podobne z koloru i kształtu, iżby się zdawało, że ich rozróżnić niepodobna; z tem wszystkiem przy wyjściu, każdy nie patrząc prawie, trafi nogą do swojego pantofla, bez najmniejszego zamieszania i szmeru. Gdy się chłopcy uczą zadanéj lekcyi, lub ją wydają, powtarzając przed nauczycielem, powinni to czynić wszyscy razem, głośno i kiwając się w takt nieustannie; bez czego rozumieją, że się nic nauczyć nie można. Widowisko to dziwnie jest pocieszne dla Europejczyka, tém bardziéj, że wysokość głosu i gwałtowność kiwania się, uważane są jako najlepszy dowód pilności i gorliwości ucznia. Ztąd też w obecności osób, przed któremi nauczyciel lub uczniowie szczególniéj popisać się pragną, wrzawa w szkole, która przedtem może na cichym tylko kończyła się szmerze, staje się nagle nie tylko głuszącym, ale istotnie przerażającym hałasem. Podczas wspólnego wszystkich czytania przed nauczycielem, starsze chłopcy mają polecony sobie dozór nad siedzącymi obok nich młodszymi uczniami, i omyłki ich w czytaniu poprawiać powinni. Sam nauczyciel w téj powszechnéj wrzawie, nic prawie słyszeć niemoże; cała więc jego uwaga zwraca się ku temu, ażeby wszystkie głosy zgadzały się z sobą w takcie, i ażeby takt kiwania się odpowiadał stósownie głosowi. To nawet rzadko się bardzo udaje; zawsze jednakże z daleka rozróżnić można, czy się już lekcya przed nauczycielem powtarza, czy też jeszcze uczniowie uczą się jéj każdy dla siebie. — Sposób czytania, pochodzący z takiego sposobu uczenia, łatwo pojąć, jak musi być nienaturalny: jakoż różni się całkowicie od wszelkiego tonu zwykłéj mowy ludzkiéj. Jest to jakby jakiś gatunek przeciągłéj, wlekącéj się pieśni, śpiewanéj, a raczéj mruczanéj głośno. Na całym wschodzie, ton nawet zwyczajnéj rozmowy, jest pospolicie wysoki i głośny; ale w czytaniu dochodzi prawie do krzyku. Jeden podróżny opowiada, że kilku Arabów prosiło go raz, aby im co po Europejsku przeczytał. Zaledwo zaczął, zawołali wszyscy: „że mówi, ale nie czyta.“

Pomimo to jednak, że cała nauka Muzułmanów kończy się na umiejętności czytania, mało jest bardzo między nimi takich, którzyby, oprócz uczonych z professyi, mogli lub chcieli ćwiczyć się w niéj po wyjściu ze szkoły; a zatém, którzyby prawdziwie dobrze i biegle czytali. Ci nawet, którzy umieją, nie biorą się za zwyczaj do czytania, bez jakiéj wielkiéj zewnątrz zachęty, większéj bez porównania od téj, jakiéjby najleniwszy Europejczyk wymagał. Autor, z którego dzieła tę wiadomość o szkołach Muzułmańskich bierzemy, powiada: że w ciągu kilkonasto-letniego między Muzułmanami pobytu, trzy razy tylko zdarzyło mu się widzieć, czytających xiążkę dla samych siebie; chociaż wszystkie czynności ich domowego życia, bardziéj są wystawione na widok publiczny, niż sobie można wyobrazić w Europie.



Szkoła Muzułmanów.

Przyczyny tego są jasne: naprzód brak drukarni, czyni xiążki bardzo drogim sprzętem, tak, że go zaledwo najbogatsi nabyć mogą, i nabywają jedynie jako przedmiot zbytku, by przez to zamożność swoję przed drugimi okazać. To samo już dostateczném jest, aby się nie dziwić ciemnocie, jaka dotąd panuje na wschodzie. Przed wynalezieniem druku, stan ogólnego oświecenia w krajach Europejskich, był nie lepszy, a może nawet i gorszy, od teraźniejszego stanu oświecenia Persyi. — Xiążki ręko-pisane, chociażby w daleko większéj ilości były, niż są na wschodzie; chociażby za daleko mniejszą cenę nabywać ich można było; już dla saméj trudności w czytaniu onychże, wstrzymują postęp oświaty. Trudności téj i przeszkody lekko ważyć nie trzeba.

(Koniec nastąpi.)

Do Łaskawych Czytelników Przyjaciela Ludu.

Przy schyłku pierwszego roku istnienia Przyjaciela Ludu, czuje się Wydawca powodowanym do powtórnego wynurzenia swéj wdzięczności, wszystkim tym czcigodnym i gorliwym mężom, którzy go pracami swemi zasilali, jako też Szanownym Prenumeratorom i całéj Publiczności przykładającéj się tak skutecznie do utrzymania jedynego w naszéj prowincyi, rozszerzeniu oświaty pomiędzy ludem poświęconego pisma. Przyjaciel ludu wychodzić będzie i w następującym roku; dla tego uprasza Wydawca, aby Szanowni Prenumeratorowie wcześnie do Księgarń lub Król. Pocztamtów, przez które jak najregularniéj co tydzień wychodzące Numera odbiorą, zgłosić się chcieli.

Wszystkie Księgarnie i Król. Pocztamty przyjmują prenumeratę na następujące półrocze od 1go Lipca do Nowego roku wynoszącą 1 Talar. 7½ sgr. czyli 7½ Złtp.

Leszno, dnia 17. Czerwca 1835. Ernest Günter,
Księgarz i Typograf.

Nakładem i drukiem Ernesta Güntera w Lesznie. (Red. Ciechański.)